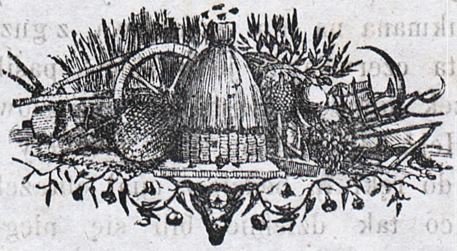
Tom XVII. **Nr. 14.**

11. listopada **1867.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Janek i Magdusia.

W karczmie na Pocieszce roili się ludzie jak mrowie. Gospodarze, gospodynie obsiedli stoły i pili gorzałkę; drudzy co się wódki odprzysięgli, arak; a ci co się i araku wyrzekli, piwo lali w siebie garncami, że to zaś byli dawni pijacy, to takiemu trzeba było nie jednego garnca, aby mu to starczyło za ową kwartę wódki, którą dawniej wypijał.

Dziewczęta i parobcy uwijali się po izbie, czekając niecierpliwie na muzykę, aby taniec rozpocząć, ale muzyka jakoś się spóźniała.

W tem wszedł do karczmy parobek jakiś nietutejszy, a ledwo się rozglądnął po izbię, postrzegła go jedna z kobiet i zaraz skoczyła ku niemu.

— Dotrzymaliście słowa, Janku, rzekła uśmiechając się mile do przychodnia; a to pięknie, widzę że z was chwat.

— Cóż Marcinowo, pójdziemy? zagadnął parobek.

— Chodźmy, ja gotowa, tylko na was czekałam.

Wyszli z karczmy, Janek wskoczył na konika myszatego, którego sobie był przed karczmą uwiązał, i puścił się stępa, a Marcinowa szła obok. Dziarski to był chłopak ten Janek, i czupurny. Sukmana na nim granatowa, z guziczkami i pętliczkami, wyszyta czerwonym jedwabiem, pasik z mosiężnemi kółkami, koziczek nowy na rzemieniu, na głowie rogata czerwona czapka. Hej! hej! daj mu tylko pistolety za pas, a lance z chorągiewką do ręki, a będziesz miał obrazek, jacy to byli owi krakusi, co tak dzielnie bili się niegdyś za matkę ojczyznę.

O kilkadziesiąt kroków za karczmą, Marcinowa wskaże na pobliską chatę:

— Patrz Janku, to już tu. Jakże ci się podoba?

— Buda jak buda, rzekł Janek; trzeba by to wszystko zwalić i z gruntu nową chatę postawić, bo któż by tu chciał mieszkać?

To powiedziawszy zeskoczył z konia, uwiązał go u płotu i wszedł z Marcinową do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, odpowiedziano z wewnątrz.

Zaduch taki straszny uderzył, że Janek omal się nie przewrócił. Rozglądnął się po izbie, i zdało się mu, że go do chlewu wprowadzili, tyle tam było śmiecia, pajęczyny i jakiejsiś zgnilizny, tak na popłodze jak i na ścianach. A jak się przypatrzył dziewce co tam siedziała, musiał śmiech w sobie przytłumiać, że go aż kolka porwała. Magda była brudna jak noc, spodnica na niej nie prana może od przeszłego lata, koszula także brudna, choć to niedziela, głowa rozterchana.

Westchnął sobie Janek nieborak, ale już się nie można było wycofać.

Magda się zwija żeby gości pięknie przyjąć, podaje stołek Marcinowej, a ławkę Jankowi; Marcinowa usiadła, ale Janek wsunął ławkę pod stół i wolał stanąć sobie na boku jak siedzieć, bo ławka była cała pooblewana krupami i kapustą.

— Cóż to Magdziu, rzecze Marcinowa, nie spodziewałaś się gości żeś izby nie uprzątła?

— Ba, chcielibyście... mam ci ja to czas sprzątać? zawoła Magda.

— Prawda, prawda, powie Marcinowa, tyś sama jedna, dość się napracujesz. Jak ci Pan Bóg da męża, wszystko pójdzie inaczej A zresztą, co tam o to, nie spodobasz się brudno, to i biało trudno; prawda Janku?

— Nie wiem czy prawda, powie Janek, bom nigdy nie próbował.

W tem zjawiła się na stole flaszka z trochą wódki i pół bochenka kołacza. Marcinowa gospodarzyła.

W twoje ręce, Janku.

— Boże daj zdrowie.

— A tobie żonę.

Przyszła kolej na Magdę. Odwróciła się z kieliszkiem jak to czynią wszystkie dziewki.

Po przekąsce Marcinowa znowu stuknęła w flaszkę. Tym razem Magda już pić nie chciała, ale Marcinowa uraczyła się bez namysłu a Janek poszedł za jej przykładem.

Za trzecią kolejką wyschło dno we flaszce. Marcinowa mrugnęła na Magdę. Dziewczyna wiedziała co to znaczy, bo wszystko było namówione, i co tchu wyszła z izby.

Wówczas Marcinowa niby się nasrożyła, bok sobie podparła i zagrodziwszy Jankowi drogę od drzwi, rzekła do niego:

— Teraz Janku, kiedyś się najadł i napił, kiedyś już widział wszystko, i Magdę i jej gospodarstwo, powiedzże ostatnie słowo: Będziesz się z nią żenił?

Janek jak to usłyszał, aż mu się nie dobrze zrobiło, Marcinowa zaś ciągnęła dalej:

— Podobała ci się dziewczyna, widziałam jakeś na nią zerkał oczyma, czegóż się teraz namyślasz? Daj rękę na słowo.

— Czekajcie no trochę, rzecze Janek, bo moja szkapa wypluła wędzidło, gotowa gdzie wleść w szkodę.

— Ho! ho! takiś to ty ptaszek! zawoła Marcinowa nie w ciemię bita; cóż to? myślisz zwodzić poczciwych ludzi! Nic z tego mój kochany.

— Gwałtu, gwałtu, moja szkapa! krzyknie Janek.

Marcinowa spojrzy przez dziurę w oknie, ciekawa czy się doprawdy co złego szkapie stało, a Janek tymczasem do drzwi, prędko na dwór wybiegł, szkapę odwiązał, wskoczył na nią i dalej w nogi.

Kobiety powychodziły z chaty, patrzą, a on ucieka jakby go kto ukropem oblał, ani się nie obejrzy.

Marcinowa przygryzła wargi.

— A co Magdo, nie mówiłam ci, że trzeba się oblec czysto i chatę zamieść?

Magda się zaczerwieniła po uszy, poznała że wszystko na nic, ale już za późno, bo Janek zniknął za górą, a trudno aby się dał złowić drugi raz.

* *
*

Ledwo pierwsze promyczki słoneczne zajaśniały na niebie, Janek już był z konikami w polu i orał. Obok niego o miedzę orał drugi gospodarz, podeszły w latach. Gdy się do siebie przybliżyli zagonami, Janek pozdrowił Tomasza, a stary zaraz w gawędkę.

— Gdzież ty wczoraj był Janku? pytali się wszyscy w karczmie o ciebie, bo nie miał kto czytać gazety.

— Gdzie ja był, Tomaszu? ani byście zgadli; toż na zalotach.

— Co? gdzie? jak?

— Ot ta Marcinowa naprzykrzona wymogła na mnie słowo że pójdę z nią do jakiejsiś dziewki na Pocieszce, ale powiadam wam Tomaszu, tam chałupa gorsza jak chlew, a dziewka nieprzymierzając jakby się w błocie tarzała.

Zaśmiał się Tomasz.

— Tam cię zaciągła? I cóż, będziesz się żenił z Magdą?

— Boże mię uchowaj; toż uciekałem ztamtąd jak oparzony. A cóżby moja matka na taką synowę powiedziała? Ale jak widzę wy ją znacie Tomaszu, kiedy wiecie że się Magdą zowie.

— Znam ją, znam, bo Marcinowa i mego Filipka z nią swatała, ale też na daremnie.

— Cóż to za jedna ta Magda?

— Ot, dziewczysko niezdałe. Nieboszczyk Piotr, jej ojciec, póki żył, trzymał gospodarstwo w ładzie, krzepką dłonią, ale gdy go pan Bóg zabrał, wkrótce zmarniała jego praca, bo Piotrowa taka sama była jak dziś Magda, i domostwo wnet zamieniła na stajnię. Nierządne kobiecisko, o nic nie dbała, a najmniej o siebie, a że taką niechlujną babą każdy się brzydzi i nią pogardza, nikt się o nią nie troszczył, nikt jej nie poratował, bieda dała się jej we znaki, a że przy takiem nieochędostwie nie trudno i o chorobę, to i Piotrowa nie pociągła długo i umarła, a córka kubek w kubek w dała się w matkę. Ale my tu gawędzimy a słoneczko tymczasem idzie w górę.

Janek skoczył do koni i dalejże uwijać się po zagonach, a ile razy sobie o Magdzie przypomniał, to się aż za boki brał od śmiechu.

Fijołki.

Hej! od miasteczka po błoniu,
Pędzi Jasieczek na koniu,
I ziemia pod nim ucieka;
A we wsi dziewczę go czeka.

Minął już krzyż i zapłocie;
Błyszczy w podwórku stokrocie,
Błyszczy wojtówna — śliczny kwiat,
Dla Janka teraz cały świat.

Przypędził, skoczył z konika,
Wójtowna wrota odmyka;
— Jak się masz Basiu! jak się masz?
Kiedyż to będzie ten ślub nasz?

— Jeszcze do ślubu daleko,
Jak precz do gór tych za rzeką,
I jak do morza od rzeki,
Tak jeszcze nasz ślub daleki!

O ciężkaż dola i smutna,
Czegoż mię dręczysz okrutna?
W serce me rzucasz kamieniem,
A jam przyjechał z pierścieniem!

— Co mi tam żałe i smutki!
Idę pleś wianem świeżutki,
Uplotę z kwiatków przy wodzie,
Co rosną w matki ogrodzie.

Dajże mi radę, Jasiu mój,
Z czego najlepszy będzie strój?
Rosną tam róże czerwone,
Kielichy maku zwieszone;

Rośnie tulipan wspaniały
Goździk czerwony i biały,
I jeszcze ciche świeżutkie
Rosną tam fijołki drobniutkie,

Powiedzże teraz, Jasiu mój,
Z czego najlepszy będzie strój?
Bo ja na święto majowe,
Chcę cudnych wianków na głowę.

— Piękne są róże czerwone,
Kielichy maku zwieszone;
Ładny tulipan wspaniały,
Goździk czerwony i biały.

Lecz dla mnie fijołek na świecie,
Najponętniejsze to kwiecie:
Z przecudną wonią się kryje,
I z trawą wespół rad żyje.

A jak niebiosa modre są,
Taką sukienkę ma on swą
Splećże — spleć wianek fijołkowy,
Na ten poranek majowy.

— Tegom czekała, Jasiu mój!
Gdy kochasz skromny fijołka strój,
Gdy kochasz kwiatek ubogi,
Dajże mi pierścień mój drogi!

Józef G.

Bitwa pod Warną.

Król Władysław Jagiełło co Litwę z Polską połączył, dwóch synów zostawił, Władysława i Kazimierza, ale obaj jeszcze byli dziećmi, bo Władysław starszy, liczył dopiero lat dziesięć, kiedy go ojciec odumarł. Panowie polscy obrali sobie na króla Władysława i ukoronowali go w Krakowie, ale ponieważ był taki młodziutki, rządzili krajem biskupi i panowie świeccy w jego imieniu. Dopiero gdy doszedł do lat pietnastu zaczął sam rządzić.

Władysław okazywał mądrość nad wiek i niesłychaną odwagę, co jak zobaczyli poczciwi nasi sąsiedzi Węgrzy, także

go sobie królem obrali, a tak Władysław był królem polskim i węgierskim.

W tym czasie pogańscy Turcy, wielcy nieprzyjaciele świętej naszej wiary, bardzo się rozszerzali w około granicy węgierskiej, w cesarstwie greckiem. Cesarzowi greckiemu zabrali cały kraj, tak że już nic nie miał jeno jedno miasto Konstantynopol, albo po polsku Carogród w którym mieszkał, i kilkanaście wsi na około tego miasta. Ściśnięty od Turków ze wszystkich stron, potrzebował pomocy, ale nikt się nad nim nie ulitował, jeno ojciec święty papież, chociaż nawet Grecy byli schyzmatykami i tak jak Moskale nie uznawali nad sobą świeckiej władzy ojca świętego Owóż ojciec święty chcąc ratować Greków, prosił rozmaitych królów o pomoc dla nich, ale niestety, nigdzie nic nie wskórał, jedni tylko Polacy i Węgrzy ofiarowali mu się pójść na Turków.

Nim przyszło do wojny, król Władysław starał się o posiłki u cesarza niemieckiego, ale cesarz odmówił, choć to i o jego kraj chodziło. Krzyżacy także się wymówili, zapomniawszy że umyślnie do tego byli postanowieni, aby bronić wiary świętej. Owóż król Władysław musiał poprzestać na swoich własnych siłach, a połączył się z nim tylko jeden wojewoda siedmiogrodzki, Jan Hunjady, który już dawniej w wojnach z Turkami ogromnie się wsławił jako dzielny rycerz i bardzo rozumny wódz.

Wyruszyli nakoniec na Turka, Polacy, Węgrzy i Siedmiogrodzianie, król Władysław na czele, a przy królu poseł ojca świętego, Cesarini kardynał, co więcej znaczy jak biskup. Turcy wyszli naprzeciw, spotkali się z naszymi raz, drugi i trzeci, za każdym razem pobici okropnie. Widząc że nie przelewki, prosili pokornie o pokój, na co też przystał Władysław, bo mu pilno było do Polski, gdzie tymczasem Tatarzy okropne szkody robili. Zawarto więc pokój bardzo korzystny dla Węgier i dla Polski obaj monarchowie tak polski jak turecki, poprzysięgli sobie nawzajem nie wojować ze sobą przez lat dziesięć.

Ale chociaż ta ugoda z Turkami była bardzo pożyteczna dla chrześcian, poseł ojca świętego, ów kardynał Cesarini namawiał ciągle króla aby ją zerwał. Dogadywał mu raz wraz że w tem nie ma grzechu, kiedy kto poganinowi nie dotrzyma słowa, a nawet obiecywał mu niepoczciwiec wyrobić u ojca świętego rozgrzeszenie. Król zbywał go jak mógł, bo nie chciał być wiarołomcą, ale gdy ta sprawa przyszła na radę panów, prawie wszyscy byli za tem, aby zerwać ugodę i iść na Turka.

Cóż miał robić król biedny? Uległ poszeptom złego ducha i wnet ruszyło wojsko polskie i węgierskie, na czele król Władysław i Huniady, a w tejże chwili jakby na przestrogę że złamanie przysięgi uczynionej w imię boskie, nie podoba się niebu — w całym kraju węgierskim ziemia się strasznie zatrzęsła.

Wojsko chrześcijańskie szło wzdłuż rzeki Dunaju ku brzegom morza Czarnego i stanęło obozem pod Warną. Sułtan czyli cesarz turecki jak się tylko o tem dowiedział, nadciągnął zaraz spiesznie z ogromnem wojskiem i stanął też nie daleko Warny. W wojsku chrześcijańskiem powiewały chorągwie z wizerunkami świętych patronów polskich i węgierskich, Turcy zaś wywiesili na wysokiej pice kartę papieru, na której była spisana owa zaprzysiężona ugoda. Nim się bitwa zaczęła, powstał wicher gwałtowny, który połamał chorągwie w wojsku chrześcijańskiem, co i Polacy i Węgrzy poczytali sobie za złą wróżbę.

Bitwę rozpoczęli łucznicy i wypuścili ze swoich łuków tyle strzał że aż się ściemniło, potem pomieszały się oba wojska i powstała bitwa zażarta. O! ileż to tam krwi popłynęło! Turcy zaczęli ustępować i była chwila że na placu boju już się tylko sam sułtan uwijał z garstką pieszych, ale bardzo walecznych żołnierzy, których zwano Janczarami. Król Władysław jak to zobaczył, zapalił się ogromnie i dalejże ze swymi Polakami prosto na sułtana.

Ale sułtan zawoła do swoich Janczarów:

— Hej! rąbcie tych potępieńców, niech giną w łapce w którą sami lecą! Dalej, szykujcie się co żywo aby ich ob-

saczyć gdy się przybliżą, a potem zabijajcie jednego po drugim. Im więcej zabijecie, tem lepiej przypodobacie się Bogu.

Król potykając się z nadludzką odwagą, zapędzał się coraz dalej i dalej, a w tem koń jego w nogę zraniony, padł i zrzucił go z siebie. Przyskoczył jeden stary janczar imieniem Kukry, odciął mu głowę i zatknął ją na pice, takiej samej jak ta, na której przed bitwą wywiesili Turcy pogwałconą ugodę. Widok ten rzucił postrach na wojsko, powstało straszne zamięszanie. Huniady powróciwszy z pogonki na nieprzyjaciela, cudów waleczności dokazywał aby z rąk zwycięzców wyrwać ciało nieszczęśliwego monarchy, ale nadaremno. Jak zobaczył że nic nie dokaże, cofnął się z niedobitkami.

Nazajutrz po zwycięztwie cesarz turecki oglądał pole bitwy z kilku starszymi Turkami, i rzekł do jednego:

— Dziwna rzecz, całe wojsko z młodzieńców się składało, ani jednego starca nie widać pomiędzy nimi.

— Gdyby był choć jeden starzec pomiędzy nimi, odpowiedział Turek, nie byliby się odważyli na takie szaleństwo.

Sułtan turecki posłał królowi egipskiemu dwudziestupięciu huzarów węgierskich i tyluż rycerzy polskich, tak jak stali w bitwie, w zbrojach żelaznych od stóp do głów, z skrzydłami u ramion, na pokazanie jakich to żelaznych ludzi zwyciężył. Ludność owych krajów wychodziła na przeciwko ze wszystkich stron i dziwowała się bardzo owym polskim i węgierskim rycerzom. Głowę zaś króla Władysława posłał sułtan do miasta Brussy, stolicy swojej, gdzie ją ziołami wypchaną, aby się nie zepsuła, obnoszono po wszystkich ulicach.

Bitwa pod Warną była stoczoną w dniu św. Marcina, to jest 11. Listopada 1444, a więc właśnie dziś, gdy się to drukuje, upłynęło od tego czasu czterysta dwadzieścia i trzy lat. Nieszczęśliwy król Władysław nazwany został Warneńczykiem. Z jego śmiercią zgasła ostatnia nadzieja ratunku dla cesarstwa greckiego, jakoż w dziesięć lat potem Turcy zdobyli miasto Konstantynopol. Niedługo potem Tatarzy poddali się im dobrowolnie, Wołoszczyzna z przymusu i odtąd już prawie nieustannie napadali na kraje chrześcijańskie roz-

pierając się na wszystkie strony. Te ich ciągłe napady Polska wstrzymywać musiała, jakoś wstrzymywała je przez lat dwieście czterdzieści i zasłaniała sobą wszystkie inne kraje. Dla tego to nazywano Polskę murem chrześcijaństwa, ale wiecie wszyscy jak się potem chrześcijaństwo wypłaciło Polsce za jej zasługę, za jej krew przez tyle wieków i na tylu polach bitew przelaną.

O uprawie chmielu.

(Dokończenie.)

Cóż to są oczka chmielu, które się w dołki sadzą?

Oczka chmielu są to wypuszczające korzonki, na 6 cali długie. Odrzynać je trzeba jeszcze w kwietniu i na krótki czas w świeżą wodę włożyć, a potem w jakiem chłodnem miejscu zachować w piasku tak długo, aż nie nadejdzie czas sadzenia.

Jak się potem z chmielem obchodzić trzeba, gdy go się już zasadzi?

Tylko jeżeli rola jest bardzo mocna i wyśmienicie uprawiona, można się już w pierwszym roku sprzętu spodziewać; inaczej trzeba w jesieni pierwszego roku młode roślinki gnojem dobrze przemacerowanym obłożyć i ziemią przysypać, a na przyszły rok , kiedy już mrozy miną i kiełki parę cali podrosną, ziemię na około kierzków ostrożnie obruszyć, starą łodygę i zbyteczne kiełki oderznąć, tak aby tylko ze 4 albo 5 najmocniejszych kiełków pozostało i utkwić długą tyczkę U wierzchołka tyczki trzeba zostawić kilka soszek, aby chmiel pnąc się w górę, miał się o co zaczepić i aby nie spadał na ziemię, kiedy owoc dojrzewać zacznie.

Kiedy już chmiel z kiełków na półtora łokcia podrośnie, trzeba go do tyczki przywiązać i uważać na to aby się piął w górę; zbyteczne zaś wypustki trzeba wyrzynać, ziemię ostrożnie poruszać i zielsko pleć.

Gdy chmiel kwitnąć zacznie, jeszcze raz go trzeba ogrzebać i wszystkie wilki czyli zbyteczne kiełki oberznąć. W lipcu

rozpuszcza chmiel listki; wtenczas trzeba żółte listki i zbyteczne przy listkach wyrostki obciąć, a wilki przy korzonkach obłomać.

Kiedy się owoc z chmielu sprząta?

Chmiel sprząta się na początku Września, t. j. sprząta się główki, i to wtenczas, gdy zaczynają brunatnieć, mocno pachnieć i za zduszeniem ich kleić się. Kiedy już nasienie stwardniało i brunatnego dostało koloru a pod listkami pyłek żółtawy się pokazuje, wtenczas należy się ze sprzętem spieszyć, bo gdyby wiatr przyszedł, wszystko by zniszczył. Chmiel też kiedy się przestoi, traci większą część mocy swojej.

Jakże się chmiel sprząta?

Obrzynają się gałązki na łokieć od ziemi, tyczki się wyjmują, chmiel się obrywa, wiąże i zwozi. W domu niechaj dzieci obrywają główki z zielonego liscia, ogonków i gałązek, nadpsute główki niechaj odrzucają, boby wszystek sprzęt od nich się popsuł. Tak oczyszczony chmiel trzeba rozpostrzeć cienko na górze, gdzie jest przewiew, a gdy dobrze wyschnie, zapakować w wory, mocno udeptać i w suchem miejscu zachować. W ten sposób sprzątnięty i przechowany chmiel zachowa swą dobroć i tęgość, i kika lat trwać może.

Po jakiej cenie sprzedaje się chmiel?

Cena chmielu jest nierówna; czasem płaci się za cetnar 50 złr. i więcej. Zawsze może mieć staranny gospodarz ładny z chmielu dochód, a kiedy się pod niego co rok dobrze nagnoi, to sadzić go można na jednem miejscu i lat 15.

Z czego powstaje głos i jak się to dzieje że go słyszymy.

Lubimy słuchać gdy dzwonią na wieży kościoła, i zdarza się nieraz, że gdy o wieczornej dobie wracamy z pola do domu a posłyszymy dzwonienie na Anioł pański, głos ten poważny,

a przy tem tak słodki dla duszy, nawet do łez nas rozczula. Nie jeden, co całe życie nie wyszedł za granicę swojej rodzinnej wioski, od kolebki do zgonu zawsze jeden tylko i ten sam głos dzwonu słyszy, a przecie głos ten, nigdy się mu nie uprzykrzy; biedny zaś tułacz, usłyszawszy gdzie w obcym kraju głos dzwonu podobny do tego, który mu dzwonił w ojczyźnie, płacze z radości.

Zaprawdę, nie ma człowieka, co by mu głos dzwonu kościelnego był nie miłym, ale i to pewna, że nie każdy wie dla czego dzwon dzwoni, zkąd się w nim ten głos bierze.

Gdy umiejętny skrzypek pociągnie smyczkiem po strunach, ochocza do tańca młodzież, usłyszawszy krakowiaka, w miejscu dostać nie może. Nawet i starych ten głos rozwesela, czasem i im nogi skaczą. A gdy grzebią żołnierza co zmarł w obcem miejscu daleko od swoich, i prowadzą go z muzyką na wieczny odpoczynek, kogoż nie wzrusza to smutne, pogrzebowe granie? Kiedy zaś mówimy o żołnierzach, trzeba też przypomnieć, co się to dzieje z starymi wojakami polskimi, co się bili za matkę ojczyznę, gdy który posłyszy czarowne dźwięki owej tak drogiej nam wszystkim piosenki: Jeszcze Polska nie zginęła!

Owóż jak nie ma człowieka co by go nie rozrzewniał głos dzwonu, tak podobno nie ma i takich, coby ich nie wzruszało granie — ale, jak wielu jest takich, co nie wiedzą dla czego dzwon dzwoni, tak i tych nie braknie, co nie pomyśleli, dla czego struna na skrzypcach, albo piszczałka wydaje głos.

Głos powstaje z drgania; dzwon dlatego głos wydaje, bo drga gdy serce w niego uderza, struna na skrzypcach także drga i ztąd granie pochodzi, a im prędzej drga, tem cieńszy głos wydaje. Wszystko a wszystko na świecie drgać może i cokolwiekbądź też zadrga, wydaje głos. Ztąd pochodzi huk na kowadle, gdy w niego uderzamy młotem, ztąd trzask bicza. Idąc po podłodze, za każdym krokiem słyszymy trzeszczenie, podłoga bowiem ugina się i podnosi pod naszemi nogami, czyli drga. Gdy gwóźdź młotkiem wbijamy, gdy zamykamy

drzwi, gdy upuszczamy lub przewracamy jaki przedmiot, podobne powstaje drgnienie, podobne poruszenie w jedną i drugę stronę, a ztąd głos.

Może się to komu zda dziwnem co mówię, że wszystko a wszystko na świecie głos wydaje gdy zadrga? Może mi kto zarzuci, że oto woda albo powietrze nie drga i nie wydaje głosu? Ale mam ja odpowiedź na pogotowiu. Wylej wodę z garnuszka do rzeki, a obaczysz czy rzeka w tem miejscu nie zadrgnie i nie pluśnie dość głośno; owszem i podrzuci w górę tę wodę, którą do niej wylejemy. Ale i tego nie potrzeba, bo któż nie słyszał jak woda drga i szumi gdy z góry spada, jak huczy gdy wielkiemi falami w wezbranej toczy się rzece? Co zaś do powietrza, toć wiatr wyje i świszcze dość głośno, a cóż jest wiatr jeżli nie drgające powietrze? toż każdy wie, jaki to huk powstaje w powietrzu z gwałtownego drgnienia gdy piorun uderza.

Toż samo i piszczałka nie dla czego innego głos wydaje, jeno dlatego, że jak w nią dmuchniemy, to powietrze z ust naszych idące, drga roztrząsając się o krawędzie piszczałki. I ludzki głos, jako to mowa, albo śpiew, także z drgania pochodzi, a to tym sposobem, że płuca nasze są jakby miechy, które się nieustannie nadymają; z nich powietrze wchodzi do krtani, niby do piszczałki i wydaje tam głos, który gębą wychodzi.

Owóż wiemy tedy, że każden głos, jakikolwiek on jest, pochodzi z drgania. Idzie teraz o to, jak się to dzieje że go słyszymy? Prosta rzecz, powie mi ktoś; słyszymy go bo się rozchodzi, rozlega. Prawda i ja tak mówię, rozchodzi się, ale jak? to także nie każdemu wiadomo.

Kto chce wiedzieć jak się głos rozchodzi w powietrzu niech się przypatrzy jak się tworzą fale na wodzie gdy w nią rzucimy kamieniem. Oto w tem miejscu gdzie kamień padł powstanie zagłębienie koliste, za niem powstanie drugie koło, dalej trzecie jeszcze większe, potem czwarte i tak dalej prawie do samego brzegu, a im dalsze są te koła, tem większe, ale i mniej wyraźne. Toż samo dzieje się i z głosem. Robi on

w powietrzu takie same koła jakie się tworzą na wodzie gdy w nią rzucimy kamień; dla czego zaś tych kół w powietrzu nie widzimy, to każdy łatwo zgadnie, bo jakże je widzieć możemy, kiedy nie widzimy powietrza.

Rozchodzenie się głosu od tego najwięcej zależy, jakie jest powietrze, gęstsze czy rzadsze; powietrze zaś gęstsze jest w dniu pochmurnym jak pogodnym, gęstsze jest w dolinach jak na wierzchołkach gór. Owóż gdy powietrze jest gęstsze, wtedy jego drgnienia czyli koła podobne do owych, co je na wodzie widzimy, są wyraźniejsze, i dlatego lepiej głos słychać. Dlatego na bardzo wysokich górach wystrzał z pistoletu tak się wydaje jakby kto z bicza strzelił, a w dolinach gdy dzień jest pochmurny, wszystko się głośniejszem wydaje jak w dniu pogodnym, czy to trzask z bicza, czy krzyknięcie, czy nakoniec to tak miłe naszym uszom dzwonienie. W izbie zaś, gdzie i powietrze dość jest gęste i jego drgnienia rozchodzić się nie mogą, bo ich ściany nie puszczają, głos każden także dość mocnym się wydaje i dlatego można tam mówić ciszej jak na dworze, a wszyscy słyszeć będą. To jest przyczyną że ludzie ze wsi zawsze głośniej mówią jak mieszczanie. Wieśniacy większą część swojego życia przepędzają w polu gdzie trzeba mówić głośniej jak w izbie aby być słyszanym. Owóż tym sposobem przyzwyczajają się mówić zawsze głośno i to im wchodzi w nałóg, mieszczanie zaś, po całych dniach siedzą w izbie, przy warsztacie, gdzie wcale nie potrzeba krzyczeć i dlatego przyzwyczajają się mówić cicho.

Gdyby powietrza wcale nie było, głos nie mógł by się rozchodzić, a my nie moglibyśmy słyszeć ani dzwonienia, ani muzyki. ani żadnego innego głosu, nawet mowy własnej. Dlatego choćby się naprzykład księżyc rozpękł z największym hukiem my tego nie słyszelibyśmy wcale, bo pomiędzy ziemią a księżycem na kilkadziesiąt tysięcy mil nie ma wcale powietrza.

Jeżeli kto krzyknie przy jednym końcu rury bardzo długiej, to drugiemu, coby stał przy drugim końcu tej rury, tak się zdawać będzie, jakby mu tamten nad uchem krzyknął.

Pochodzi to ztąd że powietrze w rurze zamknięte nie mogło rozchodzić się w takie koła i fale, jak na wolnem powietrzu, a głos popłynął w prost z jednego końca do drugiego, i dlatego nie osłabł. Gdy ludzie zmiarkowali sobie dobrze, że głos w rurze nie słabnie, zaraz zaczęli robić takie rury do rozmawiania. Do dziś dnia mają takie w niektórych urzędach. Oto, gdy dom jest wielki, izby rozległe, a naczelnik nie chce co chwila posełać po pisarków siedzących w pierwszej izbie, to ma taką rurę, co od niego idzie po ścianie aż do nich. Gdy którego z nich potrzebuje, to do rury usta przyłoży i krzyknie, a pisarek choćby siedział w czwartej lub w piątej izbie, kędy się ta rura kończy, usłyszy wołanie tak dobrze jakby mu kto nad uchem wrzasnął.

Kiedy tyle o głosie mówimy, warto też wspomnieć i o echu. Jak rzucisz kamień do wody, a w tem miejscu utworzą się na wodzie kółka coraz większe, coraz dalsze, to ostatnie kółko, przyszedłszy do brzegu, odbije się od niego; woda znowu od tego troszkę zadrga i potworzą się nowe kółka, które będą się rozchodzić ku środkowi rzeki. Tak samo dzieje się z głosem. Kiedy krzykniesz w lesie pomiędzy górami albo skałami, to w powietrzu tworzą się też takie kółka jak na wodzie, choć niewidzialne. Te kółka jak dojdą do skalistej ściany, wtedy ostatnie kółko, trąciwszy o nię, odbiję się, powietrze zadrga i powstaje drugi głos, czyli echo albo odgłos i usłyszymy drugi raz to samo cośmy zawołali. Gdy naprzeciwko siebie stoją dwie takie ściany, to się głos dwa i trzy razy odbije. We Francji w jednem mieście są dwie wieże naprzeciwko siebie, pomiędzy któremi głos odbija się dwanaście razy, tak że kto raz jakie słowo powie, to je dwanaście razy powtórzone usłyszy, a we Włoszech jest jeden zamek, gdzie głos odbija się czterdzieści razy, a za każdym razem wyraźnie go słychać.

(Dokończenie nastąpi.)

RÓŻNOŚCI.

(Z czego oliwa?) Oliwa jest to sok wyciśnięty z owoców drzewa oliwnego. Drzewo oliwne nie rośnie u nas ani dziko ani w sadach, ale w krajach

gorących dość jest pospolite. Rośnie bardzo powoli i żyje zwyczajnie do trzysta lat, ale nie jest bardzo grube. Owoce tego drzewa nazywają się oliwki. Są one podobne do małych śliwek, jak dojrzeją w końcu jesieni stają się czarniawe. Oliwki zbierają się w dwóch ostatnich miesiącach roku, to jest w listopadzie i w grudniu. W niektórych krajach zostawiają je na drzewie póki nie wyschną, potem je suszą w piecach i dopiero jedzą. Gdzieindziej jedzą je surowe, lecz takie są niesmaczne. Oliwa wyciska się z nich trojakim sposobem, albo się ją ostrożnie wyciska na zimno, albo się wytłacza na gorąco, albo na ostatek gotuje się owoce już wyciśnięte. Pierwsza jest najprzedniejsza, druga pospolita, trzecia najpodlejsza. W gorących krajach używają oliwy tak jak się u nas masła używa. Zresztą robi się z oliwy różne maści i plastry gojące. Oliwa jest także lekarstwem przeciwko truciznom, a jak kogo ukole osa, pszczoła, niedźwiadek albo wąż jadowity, trzeba maczać szmatki w oliwie i na ranę przykładać.

(Wiewiórka.) Leniwcom i próżniakom co o własne dobro nie dbają i nie zaopatrują się w żywność na zimę, mogą służyć za wzór nie tylko pszczoły i mrówki, ale także i rozmaite inne zwierzątka, a między niemi wiewiórki. Z jakąż to pilnością i pracowitością wesołe to zwierzątko gromadzi w wypruchniałych drzewach przez całą jesień orzechy i żołądź! Osobliwsza rzecz, że wiewiórka nie przestaje na jednym spichlerzyku, lecz ich kilka zakłada w rozmaitych miejscach. Dobrze też na tem wychodzi, bo czasem takie spruchniałe drzewo wicher obali, czasem się do kryjówki złodziej zakradnie; owóż w takim razie zgłodniałaby biedaczka przez zimę, gdyby gdzieindziej drugiego nie miała zapasu. To najdziwniejsza, że kiedy w zimie śnieg spadnie, las całkiem inaczej wygląda jak w lecie, wszystkie drzewa są na oko jednakowe, a wiewiórka przecie nigdy nie zabłądzi, i zawsze trafi do swego składu.

Przypowieści.

Chlubić się z bogactwa, możności, nieprzystoi; są to rzeczy niepewne, nieustawiczne, często w maluczkiej chwili giną..., gardzić zaś kim, dlatego że się nie urodził szlachcicem, nie co inszego jest, jak Boga, sprawcę urodzenia, milczkiem strofować.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.